

MARGINESY

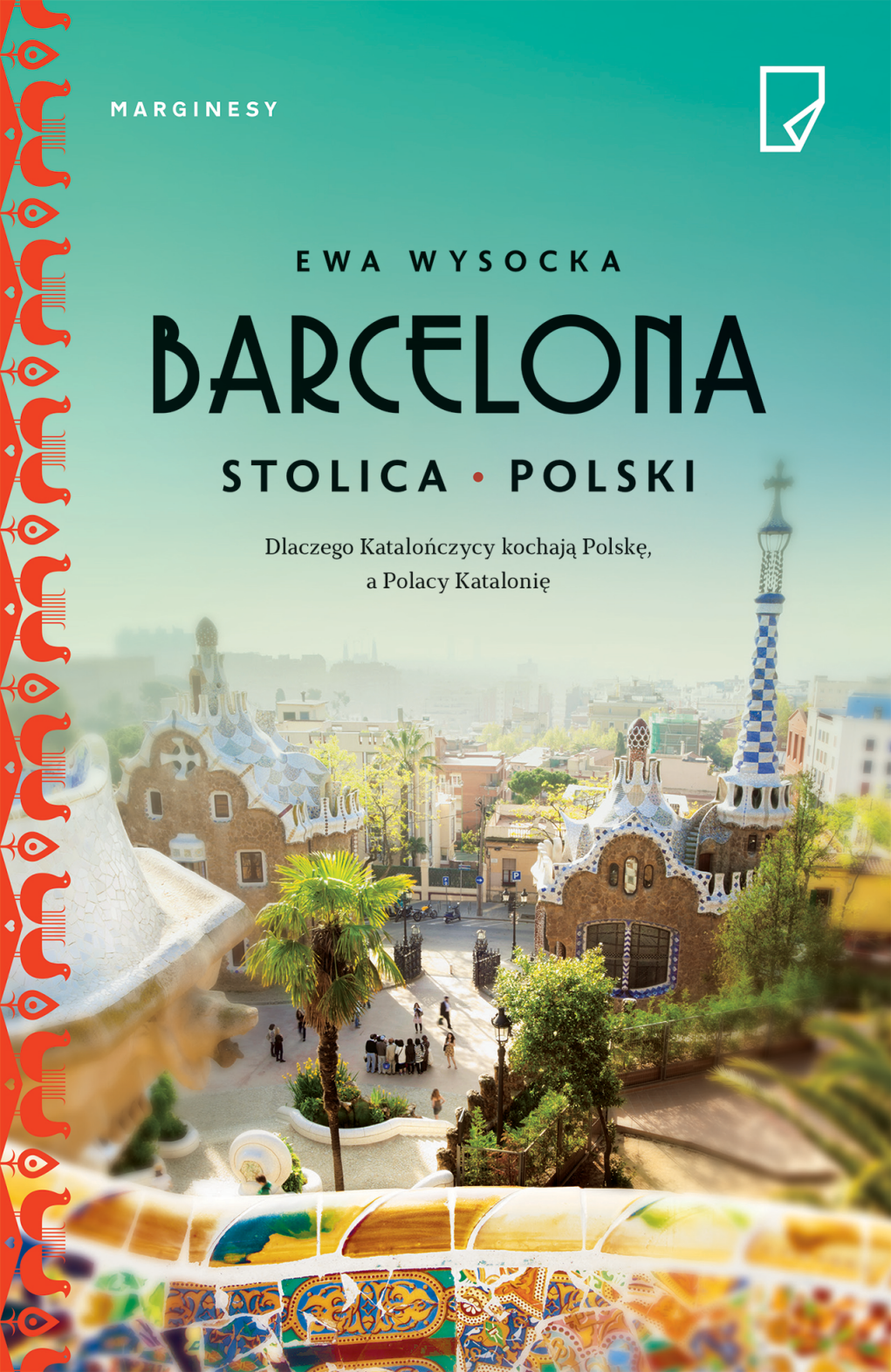


EWA WYSOCKA

BARCELONA

STOLICA • POLSKI

Dlaczego Katalończycy kochają Polskę,
a Polacy Katalonię



PAPA I BALESA

Koniec lat dziewięćdziesiątych — ależ to były czasy! Szybko się nauczyłam, że zwykłe wejście do jednego z tysięcy barcelońskich barów na małą czarną może nie tylko się przedłużyć, ale też zamienić w minikonferencję prasową. Wystarczyło bowiem, że na pytanie barmana: „Skąd jesteś?” odpowiadałam: „z Polski”, a od razu widziałam rozpromienioną twarz. No bo jak się tu nie cieszyć, kiedy przed Katalończykiem staje jego rodaczka z dalekiego kraju? Od wieków bowiem mieszkańcy Katalonii są w Hiszpanii nazywani „Polakami” i do tych prawdziwych, z Polski, żywią wyjątkowy sentyment. Dlatego często, kiedy przychodziło do płacenia, słyszałam: *Invita la casa*, czyli „na nasz koszt”. Dalekiego krewnego trzeba przecież ugościć. A w dodatku nie najbogatszego krewnego, który przyjechał z kraju przez długie lata oddzielonego żelazną kurtyną.

Wtedy jednak właściciele barów mogli sobie na taki gest pozwolić. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych w całej Katalonii było zameldowanych niespełna trzysta pięćdziesięcioro Polaków, z których ponad połowa mieszkała w Barcelonie. Wówczas spotkanie Katalończyka-Polaka z Polakiem-Polakiem było towarzyskim rarytasem i, jak na prawdziwych Polaków przystało, kończyło się długą rozmową o polityce i naprawianiu świata.

Dla Katalończyków byliśmy i jesteśmy daleką rodziną, z której są bardzo dumni. Chwalą nas za to, że nie ulegliśmy Rosji — tej carskiej, a potem tej niecarskiej, nie poddaliśmy się Niemcom, a wreszcie daliśmy przykład Europie: stawiliśmy czoło czerwonej Moskwie i niemal bez rozlewu krwi obaliliśmy

komunizm. A do tego — podobnie jak kuzyni z Półwyspu Iberyjskiego — jesteśmy krnąbrni, solidarni, uparci, lubimy dobrze zjeść i wypić i jeśli trzeba, znajdziemy wyjście z każdej sytuacji.

Bardzo szybko jednak przychodziło się przekonać, że nasi katalońscy krewni mają o nas mgliste pojęcie. Wiedzieli, że jesteśmy „stamtąd” — czyli z dawnej Europy Wschodniej — ale kompletnie nie znali naszej historii, a przede wszystkim czasów żelaznej kurtyny.

Wydarzenia w barze zwykle przebiegały według takiego samego scenariusza. Najpierw na cały lokal rozbrzmiewało *Una polaca!* (po hiszpańsku jest to pisane małą literą), po czym barman albo któryś z klientów opartych o ladę zagajał rozmowę. Na początku zwykle słyszałam te same dwa słowa: *papa* i „Balesa” — co miało oznaczać: „papież Jan Paweł II” i „Lech Wałęsa” — których Katalończycy rozpoznawali wtedy bez chwili zastanowienia. Zraz potem padały pytania na temat kraju — mało celne, ale zadawane z trudnym dziś do odtworzenia zainteresowaniem: „Wciąż macie komunizm?”, „Czy w Polsce jest Syberia?”, „W jakim języku mówi się w Polsce?”. Wtedy, czyli pod koniec lat dziewięćdziesiątych, Polska była dla zdecydowanej większości Katalończyków dalekim krajem gdzieś na obrzeżach Europy, który należy do sowieckiej Rosji, wszystko jest w nim szare, po ulicach chodzą smutni ludzie i ciągle leży tam śnieg.

Najtrudniejszym typem rozmówców byli komuniści teoretycy. Tacy, którzy nigdy w życiu nie przekroczyli granicy żadnego z państw bloku wschodniego, ale byli przekonani, że wiedzą o systemie socjalistycznym więcej niż którykolwiek z jego mieszkańców. Równocześnie mieli głęboką potrzebę przekazania swojej wiedzy, a rozmówca — nawet ten pochodzący zza nieistniejącej już żelaznej kurtyny — był im potrzebny tylko jako słuchacz. „Na przykład Józef Stalin, on nie był wcale taki zły — zapewniał jeden nich. — Gębę przyprowadziła mu Ameryka. Ale gdyby nie on, to kapitaliści weszliby wam wszystkim na głowę. Tak jak nam” — kontynuował z przekonaniem. Dydaktyczny monolog komunisty amatora kończył się zwykle przestrogą przed ekspansywną polityką „kapitalistycznych świni”. A kiedy komunista teoretyk już ponapawał się tembrem własnego głosu podczas wygłaszania

kolejnych mądrości i w końcu tracił węgę, zwykle ogarniała go nostalgia i przyznawał, że nie jest w stanie pojąć, dlaczego dobrowolnie pozbyliśmy się ustroju, o którym oni wszyscy przez dziesięciolecie marzyli. W pamięci utkwiał mi młody, dwudziestokilkuletni chłopak z wpiętym w klapę marynarki wizerunkiem Lenina. Był zadziorny i nieustępliwy. Wyjątkowo dużo wiedział o Polsce. Interesowała go nasza historia, pytał o szczegóły śmierci generała Świerczewskiego, o katastrofę lotniczą na Gibraltarze i chciał wiedzieć, kto finansował Solidarność. A kiedy wykrzyczał, co miał wykrzyzczyć, i kilka razy walnął pięścią w stół, rozpląkał się, mówiąc: „Powiedz prawdę, dlaczego wam się nie udało (w domyśle: pokochać komunizmu)? Tak bardzo na was liczyliśmy”.

Częściej jednak Polską interesowali się Katalończycy, którzy wiedzieli, że nasz poprzedni ustrój był zły. Podejrzewali jednak, że niewiele lepsi od ustroju byli sami mieszkańcy krajów Europy Wschodniej. Bo czego można oczekiwać od zastraszonych ludzi, którym Moskwa pomieszała w głowach? Jednak ciekawość brała górę nad obawą, że jestem z KGB. Najbardziej interesowały ich tematy dotyczące spraw ustrojowych i kwestie językowe. Jednak każda odpowiedź — bez względu na jej treść — była przyjmowana z takim samym niedowierzaniem. „Macie własny język? To ciekawe. A przypadkiem nie brzmi jak rosyjski? Nieeee? A jak jest po polsku *na zdrowie?*” (Katalończycy chętnie wnoszą ten rosyjski toast). Trudno się dziwić, że po otrzymaniu odpowiedzi patrzyli z powątpiewaniem i z politowaniem kiwali głowami. A w ich oczach można było przeczytać: „Biedny naród, zaledwie litera różnicy, a już myślą, że mówią po polsku”. Podczas jednej z takich rozmów elokwencją chciała się popisać pani siedząca przy sąsiednim stoiku: „W Polsce mówi się po polsku. Wiem coś o tym, bo trochę znam niemiecki. A to takie podobne języki” — przekonywała zebranych.



Dla mieszkańców regionu trudny do określenia był wtedy nie tylko polski język i ustrój — ten dawny i ten obecny. Równie źle szło Katalończykom z lokalizacją Polski na mapie. Kilka razy zapytano mnie: „Warszawa leży na wschód czy na zachód od Moskwy”.

A kiedy wybuchła wojna w Jugosławii, ze współczuciem składano Polakom kondolencje. W odpowiedzi na wyjaśnienie, że to nie w Polsce walczą, słyszałam: „A jaka to różnica?”. Wtedy Europa Środkowa czy wybrzeże Adriatyku niewiele się dla Katalończyków różniły.

Pamiętam kłótnię w barcelońskim oddziale Cadena SER — największej i jednej z najpopularniejszych hiszpańskich rozgłośni radiowych. Nie miałam jeszcze w domu łącza ISDN i życzliwi technicy i dziennikarze wypożyczali mi od czasu do czasu studio. Pewnego dnia któryś z nich — na wzór scenariusza z baru — zaczętnie rzucił: „A co wy tam macie w tej waszej Polsce?”. Kiedy odpowiedziałam, że góry i morze, usłyszałam gromki śmiech. Morze w Polsce? To dopiero dowcip. Na nic się zdały moje przekonywania. Wszystkie argumenty kwitowano tak samo: „Przecież wiemy, gdzie leży Polska i tam morza nie ma, chyba że masz na myśli duże jezioro”. Spór zakończył dziennikarz, który znalazł w kalendarzyku mapę Europy. Okazało się, że katalońscy radiowcy pomylili nasz kraj z Węgrami, a Bałtyk z Balatonem.

Jednak trudno im się dziwić. Żelazna kurtyna była dla Hiszpanów wyjątkowo szczelna. Naszą — przy tamtej — porównać można do żelaznej firanki. Poznawaliśmy przecież w szkołach historię, literaturę i geografję kapitalistycznej części świata. Wpajano w nas jedynie — bardzo nieskutecznie — wiedzę o ciemnych stronach tamtego „zdradliwego” systemu. Tymczasem w Hiszpanii aż do końca lat siedemdziesiątych — czyli do zakończenia dyktatury generała Franco — tematy związane z Europą Wschodnią całkowicie pomijano w szkolnych programach. Również epoki sprzed wystrzału z „Aurory”. Hiszpańscy uczniowie do dzisiaj nie wiedzą, kim byli Puszkina i Tołstoj. Ciągłe też kuleje znajomość mapy. W czasach dyktatury w hiszpańskich podręcznikach nasza część Europy była zaznaczona jedynie wielką, czerwoną plamą bez podziału na granice. Nie nanoszono na nią nawet stolic. Niczego o tej części świata nie uczono, za to zawsze, kiedy tylko nadarzała się okazja, straszono nami. Uczniowie wiedzieli, że gdzieś pod tym czerwonym konturem leży mroźna Syberia, a stolicą imperium jest Moskwa — miasto, w którym wszyscy noszą futrzane czapy. Wpajano im do głów, że na tych niegościnnych ziemiach żyją

żądni krwi mieszkańców Zachodu komuniści. No i niedźwiedzie. Oba gatunki równie niebezpieczne.

Tematy związane z wrogią Europą Wschodnią rzadko gościły też na łamach gazet, w radiu i telewizji. Ówczesna władza obawiała się zgubnego wpływu, jaki komunizm mógłby wywrzeć na hiszpańskich robotników, nauczycieli i artystów — czyli potencjalnych republikanów, z których wielu przed wybuchem wojny domowej otarło się o anarchizm, by potem, w czasach skrajnie prawicowej dyktatury, idealizować komunizm. Przez lata reżimu mieszkańcy Katalonii, Aragonii czy Kantabrii byli karmieni informacjami o braku podstawowych wolności obywatelskich w krajach bloku wschodniego.

Nikt nie uwierzyłby, że w polskiej telewizji puszczano serial *Ja, Klaudiusz*, a w kinach można było bez przeszkód obejrzeć *Love story* i *Przeminęło z wiatrem* — film, który najpierw okroiła cenzura, a potem zakazał go w Hiszpanii Kościół — czy kupić książkę któregoś z zachodnich lub iberoamerykańskich autorów. W powszechnym wyobrażeniu byliśmy narodem zniewolonym i całkowicie podporządkowanym Wielkiemu Bratu, krajem, w którym kultura jest okrojona wyłącznie do sowieckiego kina i literatury. Do czytelników ówczesnych gazet przeciekały tylko kontrolowane przez reżim informacje. Kiedy umarł Nikita Chruszczow, wychodzący do dzisiaj dziennik „ABC” opublikował na okładce wielkie zdjęcie polityka, a w środku — w artykule informującym o jego śmierci — widniało: „Skończył z mitem Stalina, zbudował mur berliński i pogrzebał Węgry. Ktoś kiedyś napisze całą prawdę o tej postaci rodem z Dostojewskiego”.

Nastawienie hiszpańskiego społeczeństwa zaczęło się zmieniać po powstaniu Solidarności i obaleniu muru berlińskiego. Krótco po rozpoczęciu strajku w Stoczni Gdańskiej stawiała się nawet reprezentacja katalońskich anarchistów z propozycją pomocy, ale im podziękowano. I to nie była zła decyzja. Jednak nawet te wydarzenia nie zmieniły przyzwyczajenia Hiszpanów. Jeszcze na początku XXI wieku w prognozie pogody emitowanej w hiszpańskich dziennikach telewizyjnych mapa Europy kończyła się na Berlinie. Dalej ani nie świeciło słońce, ani nie padał deszcz. Teraz to się zmieniło. Zdarza się, że w katalońskich mediach Polska

jest punktem orientacyjnym. Niedawno (koniec lutego 2016 roku) w popularnym katalońskim radiu RAC1 tłumaczono, jak zlokalizować na mapie Litwę: „To jest mały kraj od południa sąsiadujący z Polską, naszą drugą Ojczyzną” – wyjaśniał prowadzący audycję.

Przez lata lęk Hiszpanów i Katalończyków przed mieszkańcami naszego dawnego bloku – czyli przed nami – można by porównać do psychozy. Kiedy pod koniec lat 90. – a więc w kilka lat po Okrągłym Stole i upadku ZSRR i na krótko przed wejściem Polski do Unii Europejskiej – do Warszawy wybierała się delegacja radnych z niewielkiego katalońskiego miasteczka, jeden z jej członków przed wyjazdem spisał testament. Był przeżony i wszystkim opowiadał, że udaje się w podróż wysokiego ryzyka, podczas której, nawet jeśli nie zabiją go komuniści (fakt zmiany systemu w Polsce nie był dla niego przekonywającym argumentem), to zamarnie na śmierć. Przeżył. Choć po powrocie zapewniał, że kilka razy było mu zimno. Przyznał też, że mimo niskich temperatur często robiło mu się gorąco, jednak nie z lęku, tylko z wrażenia. Nie mógł wyjść z podziwu, jak to możliwe, że po ulicach polskich – jeszcze niedawno komunistycznych – miast jeżdżą takie same jak w Hiszpanii samochody, w sklepach jest wiele podobnych towarów, no i na każdym kroku można spotkać uśmiechniętych ludzi – a przecież mieli być smutni i zastraszeni.

Podróż obaliła też jego przekonanie o Polsce jako o kraju policyjnym. Stróże prawa nie stali na każdym rogu ulicy i co kwadrans nie było słycać radiowozów na sygnale. Jednak największym zaskoczeniem dla całej delegacji okazał się zakaz palenia papierosów na peronach warszawskiego Dworca Centralnego. Wtedy w Katalonii wprawdzie już nie można było palić w salach kinowych ani na szpitalnych łózkach (pod koniec lat osiemdziesiątych jeszcze było to dozwolone), ale popielniczki wciąż stały na sklepowych ladach. Palili sprzedawcy i kupujący. Na korytarzach publicznych szkół średnich (bo w podstawowych jednak nie, jak również w katolickich – jak mnie niedawno przekonywano) palili uczniowie i nauczyciele, ci ostatni również podczas lekcji. Palili nawet lekarze w ośrodkach zdrowia, kiedy przyjmowali pacjentów, deputowani na sesji plenarnej, sędziowie podczas rozpraw. Przez długie lata papieros był w Hiszpanii symbolem postępu

i odzyskanej wolności. Sztruksowe spodnie, marynarka i paczka papierosów Ducados były atrybutami tych, którzy sprzeciwiali się Franco. Potem, w ramach walki o swoje prawa, po papierosy sięgnęły kobiety, wyjątkowo źle traktowane przez dyktaturę. W czasach generała Franco panie bez pisemnej zgody męża nie mogły posłać dziecka do szkoły, iść do pracy czy otworzyć konta bankowego. Nie mówiąc o rozwodzie – tych w ogóle nie było. Wprowadził je dopiero w 1981 roku prawicowy rząd Adolfo Suareza. W ostatnich latach reżimu najbardziej zbuntowane zaczęły palić na ulicy, narażając się na krytykę, a nawet agresję ze strony bardziej tradycyjnych koleżanek. W czasach dyktatury ten „przywilej” miały jedynie prostytutki. Ówczesni *progres*, czyli postępowe rodziny, przy okazji świąt i uroczystości – w ramach wprowadzania do domów nowoczesności – dawali pociągnąć kilka dymków kilkuletnim dzieciom. Dlatego zakaz palenia – p a l e n i a ! – na największym polskim dworcu był dla członków katalońskiej delegacji kompletną abstrakcją, którą znajomy radny uznał nie za przejaw postępu i próbę ochrony zdrowia (wtedy jeszcze w zbiorowej katalońskiej świadomości papierosy nie szkodziły), tylko za pozostałość po ucisku komunistycznym.

Czasy się zmieniły. Dzisiaj, według Konsulatu Generalnego RP w Barcelonie, w Katalonii mieszka dwanaście tysięcy Polaków, z czego prawie połowa z nich w stolicy regionu i barcelońskiej metropolii. Są wśród nich wykładowcy uniwersyteccy, tłumacze, lekarze, artyści, dobrze prosperujący biznesmeni, sprzedawcy, kelnerzy, spawacze – swego czasu bardzo poszukiwany zawód – robotnicy budowlani, studenci, naukowcy. W stolicy Katalonii działają polskie sklepy i galerie, stowarzyszenia kulturalne, szkółki sobotnie i parafia rzymskokatolicka. W podtrzymywaniu sympatii pomaga też fakt, że barcelończycy nie patrzą na nas przez pryzmat naszych rodaków, którzy szukając zarobku, sprzedawali sery i kiszoną kapustę z rozłożonych na chodnikach gazet. Ci bowiem nigdy do Katalonii nie dotarli. Za daleko, a do tego Hiszpania dopiero jako jeden z ostatnich krajów w Europie pozwoliła Polakom podróżować bez wiz. Na pracę mogli liczyć jedynie władający językiem. Trzeba pamiętać, że mieszkańcy Półwyspu Iberyjskiego, zwłaszcza ci po czterdziestce, rzadko posługują się językiem obcym.

Dlatego znajomość angielskiego nie była i nie jest wystarczającą przepustką do znalezienia zajęcia. Nawet do winobrania czy zbierania pomarańczy najchętniej zatrudniane są osoby chociaż trochę mówiące po hiszpańsku, a jeszcze lepiej – po katalońsku.

Miało to też swoje dobre strony. Zamiast kojarzyć nas z handlarzami, przez lata Katalończycy łączyli Polaków z Wałęsą i papieżem. Teraz lista naszych znanych rodaków coraz bardziej się wydłuża: o Polańskiego, Kantora, Kubicę, Mrożka, Wajdę, Krychowiaka, Gombrowicza, Lupę czy Lewandowskiego. W katalońskiej Polsce powstała mała Polska znad Wisły, która dobrze sobie radzi i prosperuje.



- Przyjaźń polsko-katalońska.



JAK POLAK Z POLAKIEM

Katalończyków nazywa się w Hiszpanii „Polakami”. Miano to nie zostało im nadane z konkretnego powodu, ale jest wypadkową wielu wydarzeń, do których doszło na przestrzeni co najmniej dwustu lat. W zależności od miejsca i daty *el polaco* brzmiało bohatersko, przyjaźnie albo pogardliwie. Wręcz obelżywe zabarwienie miało po wojnie domowej, podczas dyktatury generała Francisco Franco. Wtedy nadużywali go frankiści, wojskowi i falangiści, czyli członkowie partii popierającej reżim, jedynej, jaka istniała w Hiszpanii w czasie dyktatury.

Dla generała Franco i jego idei Wielkiej i Niepodzielnej Hiszpanii wszystkie mniejszości i odrębności były przeszkodami na drodze do stworzenia narodowego monolitu. A używający swojego języka, uparci Katalończycy – największą z nich. Dlatego zakazano im mówić własnym językiem i tańczyć sardanę – narodowy taniec, zdecydowanie bliższy tyrolskiemu „wiatraczkowi” niż andaluzyjskiemu flamenco. Wtedy też porównywanie Katalończyków do Polaków brzmiało wyjątkowo pejoratywnie, a nawet obraźliwie, bo *el polaco* miało poniżyć i wytknąć nie lubiane przez reżim odrębności.

Najdotkliwiej skutki owego przezwiska odczuwali katalońscy rekruci odbywający zasadniczą służbę wojskową. Wszyscy byli „Polakami”, za co często „nagradzano” ich dodatkową musztrą i wyzwiskami. Do dzisiaj obrywają też katalońscy politycy. Wciąż mówi się w Hiszpanii, że kiedy Katalończycy przekraczają próg Kortezów – centralnego parlamentu – to na ich cześć puszczane są Etiudy Chopina.

O Polakach – tych znad Llobregat, nie znad Wisły – z uszczypliwością przypominają znane niekatalońskie osobistości. Na przykład w 1993 roku ówczesny prezes Realu Madryt, Ramón Mendoza. Jego zawodnicy – „królewscy” – pokonali FC Barcelonę na Camp Nou i zdobyli Superpuchar Hiszpanii. Kiedy ich samolot wylądował w Madrycie, do czekających na lotnisku i podskakujących ze szczęścia kibiców prezes radośnie krzyknął: „Skaczcie, skaczcie, tylko Polacy nie skaczą!”. Pierwotny tego okrzyku z antyfrankistowskiej manifestacji brzmi: „Jeden podskok, dwa podskoki, ten faszysta, kto nie skacze!” (*Un bote, dos botes, fascista el que no bote*). Podczas innego meczu, dzięki któremu klub FC Barcelona wygrał ligę, komentator publicznej telewizji hiszpańskiej zauważył, że jak zwykle na stadionie Camp Nou powiewa tysiące katalońskich flag. „A gdzie są hiszpańskie flagi? Chyba nie ma ani jednej” – przyznał. Po czym dodał: „To zaskakujące, bo przecież ciągle jesteśmy w Hiszpanii. A może już nie? A może już jesteśmy w Polsce?”.



Przewrotni mieszkańcy regionu zamiast bronić się przed przypisywaniem im słowiańskich korzeni, przekuli przezwisko na własną korzyść. Wektor – z ujemnego na dodatni – zaczął zmieniać kataloński pisarz, Manuel Vázquez Montalbán, autor przetłumaczonych na kilkanaście języków, również na język polski, przygód prywatnego detektywa Pepe Carvalho. W 1996 roku pisarz wydał książkę o intrygującym tytule *Un polaco en la corte del Rey Juan Carlos* (Polak na dworze Króla Juana Carlosa). Tytuł przewrotny, bo owym Polakiem był on sam. Publikacja jest zbiorem trzydziestu wywiadów, które Vázquez Montalbán przeprowadził podczas kilkumiesięcznego pobytu w Madrycie.

Był to wyjątkowo interesujący moment, bo po prawie piętnastu latach władzę tracili socjaliści i premier Felipe González, a przejmował ją pravicowy rząd Partii Ludowej (PP) i José María Aznar. Gabinet, który nie mógłby powstać bez poparcia nacjonalistów katalońskich (CiU). Na jednej z pierwszych stron Montalbán informuje: „W Polsce Convergència i Unió trzyma się dobrze”.

„Przed wyjazdem do Madrytu chciałem spotkać się z premierem Polski [Jordim Pujolem, liderem katalońskiego rządu], ale

nie miał dla mnie czasu” – obwieszczał autor. Aby nikt nie miał wątpliwości, że nie pomylił się, przypisując sobie i wszystkim Katalończykom wschodnioeuropejski rodowód, w liczącej prawie sześćset stron książce pisarz niemal bez wyjątku zastąpił słowo *catalán* określeniem *polaco*. Używa go kilkaset razy (naliczyłam trzysta siedemdziesiąt, a nie doszłam do końca książki). „Czy jestem Polakiem?” – pyta. I kilka wersów niżej odpowiada sobie: „Tak, jestem Polakiem”. A podsumowując swój długi pobyt w Madrycie, obwieszcza wszem wobec, że Polacy pozostaną wybranym narodem „jako w Niebie, tak i na Ziemi”.

Po publikacji – nietypowej jak na autora – w prasie, wraz z recenzjami zaroilo się od Polski i Polaków. Legendę dalekiego kraju z drugiego krańca Europy pomagał podtrzymywać sam Vázquez Montalbán, który w wywiadach konsekwentnie podkreślał, że jest obywatelem naszego kraju. „Tak, to prawda” – zapewniał dziennikarza „El País”. Dlatego bardzo szybko zauważono, że książka, oprócz niewątpliwie interesującej treści, ma też wydźwięk edukacyjno-moralny i jest prztyczkiem w nos dla wszystkich tych, którzy przez lata chcieli uwłaczać Katalończykom. „Vázquez Montalbán udowodnił, że przezwisko, które od dawna nam towarzyszy, nie jest żadną uszczypliwą łatką, tylko elegancką polską etykietką” – podsumował kataloński dziennikarz.

Tropem pisarza poszli inni. Wkrótce w katalońskiej telewizji pojawiły się programy o polskich nazwach i opublikowano kolejne „polskie” książki. Bycie Polakiem stało się atutem, który przejęli mieszkańcy regionu. I tak jest do dziś. Kioskarka z Barcelony, obok dawnego Międzynarodowego Centrum Prasowego (niestety, zamkniętego podczas kryzysu), niezdecydowanym klientom zawsze zadawała to samo pytanie: „Prasa polska czy zagraniczna?”, mając na myśli gazety wydawane w Katalonii albo w Madrycie. A kiedy w innym kiosku zapytałam kiedyś o jakąś polską gazetę, usłyszałam: „Mówisz o Polsce stamtąd czy stąd?”.



HISTORIA JEDNEGO PRZEZWISKA

Bliskie nam przezwisko nie wzięło się z niczego. Mnożą się teorie, dotyczące jego historii i etymologii. Jedni zapewniają, że o przyklejeniu Katalończykom „polskiej łatki” zdecydował zupełny przypadek. Krnąbrni mieszkańcy regionu od wieków podkreślali swoją odmienność. Nie chcieli przynależeć do Korony Hiszpańskiej, mówili własnym językiem i dbali o własną kulturę, tradycję i obyczaje. Byli inni i lubili to akcentować. A w dodatku porozumiewali się w języku niezrozumiałym dla pozostałych i kojarzonym z odległymi, wręcz egzotycznymi ładami. Równie dobrze można byłoby nazwać ich „Duńczykami” albo „Holendrami”, ale padło na nas.

Inni twierdzą, że w XVII wieku przezwisko niechęć nadali Katalończykom polscy marynarze. Korona Hiszpańska utrzymywała wtedy stosunki handlowe z Rzeczpospolitą. Dużo informacji na ten temat przetrwało dzięki listom ówczesnych hiszpańskich dyplomatów. Wymiana handlowa z Gdańskiem, jak również z innymi miastami hanzeatyckimi, rozkwitła już za czasów Stefana Batorego i była na tyle rozwinięta, że w XVI wieku Hiszpanie planowali nawet założyć na Morzu Bałtyckim punkt przeładunkowy dla swoich galeonów. A kiedy ich kraj dotknął nieurodzaj, chcieli opróżnić nadwiślańskie spichrze i wykupić cały zapas zboża w Polsce. Skończyło się jednak na zamysle. A dobrze prosperujący handel przestał się rozwijać w 1655 roku wraz z potopem szwedzkim.

Jednak przez dziesięciolecia Hiszpania sprowadzała z Polski nie tylko zboża, ale też len, konopie, a przede wszystkim drewno.

Mało kto wie, że przyczyniliśmy się do zorganizowania wypraw do Indii i podboju obu Ameryk. W czasach wielkich podróżników i konkwistadorów z polskich bali sosnowych budowano maszty ówczesnych galeonów, na których *Gran Armada* – królewska marynarka wojenna – podbijała nowo odkryte lądy i którymi transportowała na Półwysep Iberyjski złoto i kosztowności. Zdaniem ówczesnych konstruktorów galeonów polskie bale sosnowe – długie i proste – najlepiej ze wszystkich nadawały się do wyrabiania masztów. „Pnie były tak długie, że do transportu każdego trzeba było używać dziesięciu koni” – napisał pod koniec XVII wieku służący we *Flota de Indias*, czyli flotyli pływającej do Ameryki i Indii, żołnierz i marynarz José Antonio de Gaztañeta e Iturrizaga. Jego rękopis *Arte de fabricar reales* (Sztuka budowania statków pływających pod królewską banderą) do dzisiaj jest ważnym źródłem informacji. Przetrwiał nawet oryginał, przechowywany w Muzeum Morskim w Madrycie. Gaztañeta odbył kilkanaście podróży do Nowego Świata, pierwszą – mając niespełna dwanaście lat.

Według zachowanych do naszych czasów przekazów polskie towary transportowano z Gdańska do Barcelony. Tam na statki zaciągali się katalońscy marynarze, którzy razem z Polakami płynęli na południe, wzdłuż wybrzeża Morza Śródziemnego. Ich docelowym portem zwykle był Kadyks. Kontaktując się z handlarzami drewnem, mieszkańcy Andaluzji słuchali mieszaniny dwóch dziwnych języków i zaczęli utożsamiać Katalończyków z Polakami. Zgodnie z ową teorią to właśnie oni zaczęli nazywać mieszkańców Barcelony i okolic *los polacos*.

Nie wszystkich to jednak przekonuje. Przeciwnicy tej wersji utrzymują, że handel między obydwoma krajami nie trwał wystarczająco długo, by zostawić po sobie ślad, który przetrwałby do naszych czasów. Przypominają też, że nie było wtedy na mapie Polski jako takiej, tylko Rzeczpospolita Obojga Narodów.

Argument ten można jednak łatwo podważyć. Ponoć właśnie z tego okresu pochodzi używany do dzisiaj wyraz, nie najlepszej sławy, do powstania którego przysłużyć się mieli owi polscy XVII-wieczni marynarze. Jest nim *xarnego* – słowo, które wymawia się „ciarnego”. Podobno Polacy transportujący drewno na południe Hiszpanii tak często powtarzali „czarny”, wskazując na krucze

włosy i ciemną karnację mieszkańców Andaluzji, że słowo to zapadło w pamięć Katalończyków i zaczęli tak określać południowców. Z biegiem lat wyraz nabrał pejoratywnego znaczenia. Od połowy XX wieku w Katalonii *xarnego* nazywani są z pogardą wszyscy imigranci mówiący po kastylijsku. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych w poszukiwaniu pracy do „hiszpańskiego El Dorado” – jak nazywano wtedy region – przyjechało prawie milion Andaluzjczyków. Masowy napływ imigrantów z południa doprowadził nawet do protestów. Na przedmieściach Barcelony, gdzie się osiedlali, pojawiły się wtedy napisy *Xarnego fora!* (Ciarnego, wynoś się!).

Określenie przetrwało do dzisiaj i oznacza osobę zacofaną, mającą problemy z integracją, niemówiącą po katalońsku. To jedno ze słów szepczanych za plecami i niewypowiedzianych prosto w twarz. Nazwanie kogoś publicznie tym mianem może mieć nieprzyjemne konsekwencje.

Jeśli zatem określenie *xarnego* przetrwało przez ponad trzy-sta lat, to dlaczego miałyby nie przetrwać *polaco*?





SZTURM JASNOWŁOSYCH POLAKÓW

Kilka teorii dotyczących przewania Katalończyków „Polakami” jest związanych z XIX wiekiem. Głoszą one, że o przydomku tym zdecydowały wojny napoleońskie. W 1808 roku z podbijającym Europę Bonapartem na Półwysep Iberyjski przywędrowała Legia Nadwiślańska, ułani i Dywizja Księstwa Warszawskiego – w sumie dwadzieścia cztery tysiące polskich żołnierzy. Polacy dzielnie walczyli w Hiszpanii u boku Francuzów. Piastowali wysokie urzędy, na przykład Antoni książę Sułkowski był gubernatorem Malagi, a major 9. pułku Feliks Grotowski – gubernatorem miasta garnizonowego Almerii. Grotowski tak bardzo przypadł do gustu tamtejszym mieszkańcom, że po jego wyjeździe na ulicach długo jeszcze wisiły rozkazy i odezwy Polaka. Bardzo szybko zerwano z nich natomiast wszystkie pozostawione przez Francuzów.

Polscy żołnierze nie uczestniczyli w okradaniu kościołów. Nie byli okrutni, w odróżnieniu od francuskich towarzyszy broni, i szanowali cudzą własność. Jak wynika z zachowanych do naszych czasów zapisków, wielokrotnie powstrzymywali grabieżę i plądrowanie majątków. Okazywali dużo człowieczeństwa i szczylicili się przywiązaniem do religii. Często – jako katolicy i „najemnicy bez Ojczyzny”, jak ich nazywano – po wzięciu do niewoli byli traktowani lepiej niż Francuzi. Andrzej Daleki napisał w pamiętnikach, że kiedy głodnych polskich jeńców dowieziono do portu w Alicante, brytyjski generał na ich oczach zrugął Hiszpanów, że nie dbali o „żołnierzy pozbawionych Ojczyzny”.

W pamiętnikach pozostawionych przez żołnierzy Napoleona opisano wiele wydarzeń, w których zawieszono na szyi

medaliki ratowały jeńców przed egzekucją. Rzadko się zdarza, żeby najeźdźcy budzili sympatię, a tak się działo w przypadku Polaków. Historycy twierdzą nawet, że to właśnie w czasie wojen napoleońskich, mimo że Polacy byli najeźdźcami, zaczęło się braterstwo dwóch narodów – polskiego i hiszpańskiego – które znajdowały się w podobnym położeniu.

Żołnierze znad Wisły podążyli za Napoleonem na kraniec Europy, gdyż obiecał im pomoc w odzyskaniu Polski. Jednak na Półwyspie Iberyjskim byli zmuszani do zwalczania ruchów narodowych, które – podobnie jak oni – miały na celu odzyskanie zagrabionego przez Francuzów kraju. W Polsce najazd Bonapartego na Hiszpanię nazywany jest kampanią hiszpańską. W Hiszpanii – wojną o niepodległość, podczas której Francuzi odbierali napadniętym to, o czym marzyli Polacy – Ojczyznę.

W trakcie walk Polaków kierowano do najtrudniejszych zadań. To oni dwukrotnie zdobywali Saragossę – miasto, które przez rok dzielnie odpierało ataki Napoleona. Szarża ułańska zdecydowała o zwycięstwie pod Somosierrą. O bitwie, z której jesteśmy tak dumni, Hiszpanie niewiele wiedzą. Polskim szwoleżerom oszczędzono jedynie krwawego tłumienia powstania, które wybuchło w Madrycie na początku maja 1808 roku. Okrucieństwo, z jakim Francuzi rozprawiali się wtedy z broniącymi miasto, natchnęło Francisca Goyę do namalowania słynnego obrazu *Rozstrzelanie powstańców madryckich*. Zrobił to, mimo że popierał Napoleona. Sprzyjanie Francuzom sprawiło, że po porażce cesarza malarz wyemigrował do Bordeaux.

W Katalonii Napoleon musiał mierzyć się z groźnym *somatén* – oddziałami samoobrony, do których należeli chłopci i mieszczanie. I nie było ich mało, bo zdołali nawet oblegać Barcelonę. Ukrywających się w okolicach miast partyzantów ostrzegano przed obławą napoleońskich wojsk, bijąc w dzwony. Doszło do tego, że francuski gubernator w Barcelonie rozkazał pociąć sznury w dzwonicach, żeby sympatyzujący z *somatén* nie mogli zawiadomiać jego członków o niebezpieczeństwie.

Bohaterem narodowym Katalończyków jest siedemnastoletni bębniarz z Brucy, który odstraszył francuskie wojska od Montserrat i tamtejszego klasztoru benedyktynów. Jak głosi



• Bębniarz z Brucy.

legenda, odgłos uderzeń w bęben odbijał się od skał i najeźdźcy myśleli, że mierzą się z dużą siłą. Tymczasem były to tylko partyzanckie oddziały. Na Montserrat można przejść „trasą z Brucy”, a w pobliżu klasztoru stoi pomnik bębniarza. W innych regionach na francuskich nieprzyjaciół czekały *guerillas* – grupy partyzanckie.

Wielu Polakom nie podobało się, że na Półwyspie Iberyjskim muszą zwalczać ruchy, których idee sami chętnie by popierali. Dlatego niektórzy z nich podczas wojny hiszpańskiej zmienili szeregi i zaczęli wspierać lokalne oddziały zwolenników niepodległości. Wszyscy oni dla Hiszpanów mówili dziwnie, niezrozumiale, podobnie jak katalońscy partyzanci, którzy zasłynęli odwagą. I oba języki znów podobno potraktowano jak jeden – polski.

Z francuskich raportów sporządzanych w Hiszpanii wynika, że z polskiej armii zdezerterowało około czterystu żołnierzy. Jednak nie są to ścisłe dane. Wiadomo też, że w Hiszpanii zostało dużo polskich jeńców. Zawierano także mieszane małżeństwa. Hiszpańskie rodziny chętnie wydawały córki „za walecznych i jasnowłosych Polaków” wyznających tę samą co oni religię. Żołnierzy, którzy podobnie jak Katalończycy mówili w niezrozumiałym języku. I tak jednych i drugich zaczęto nazywać w ten sam sposób – *los polacos*.

Przed laty w jednej z barcelońskich restauracji pojawił się przede mną na stole talerz z cukierkami, mimo że nikt ich nie zamawiał. Dyskretnie postawił go kelner, starszy pan (niestety, już nie żyje), wielce przejęty, że słyszy polską mowę. Nazywał się Wisniewski i był prapraprawnikiem Polaka uczestniczącego w kampanii hiszpańskiej. Prawie nie mówił po polsku, ale rozpoznawał nasz język i kiedy usłyszał go w Barcelonie, bardzo się wzruszył. Opowiadał, że jego praprapradziadek zakochał się w Katalonce i postanowił tu zostać. Rozmówca nie zdradził, czy jego przodek dotrwał do końca walk u boku Napoleona, czy też wcześniej zdecydował się na porzucenie wojennej misji. Podkreślał zaś, że jego dziadek, a potem ojciec uczyli go polskiego i wpoili mu szacunek do leżącego po drugiej stronie Europy kraju, w którym nigdy nie był.

Według jeszcze innej teorii tłumaczącej pochodzenie przezwiska – również wywodzącej *el polaco* z czasów napoleońskich – sam Bonaparte miał wyrazić opinię, że języki kataloński i polski są do siebie fonetycznie podobne. Właściwie mógłby tak stwierdzić. Oba języki nieco „szeleszczą”, w obu słuchać „sz”, „ć” i „dź”. Tyle tylko, że dla nas Katalończycy wymawiają wyrazy ze ściśniętym gardłem, jakby zawsze mieli anginę. Nasze słowa zaś są dla nich całkowicie niezrozumiałe i – jak sami przyznają – brzmią szorstko. Mamy nawet bliźniacze wyrazy. W katalońskim istnieje *pluja*, wymawiane „pluzia” – brzmi podobnie jak polska „plucha” i to samo oznacza. Albo „galimaties” – tak jak w języku polskim, tak i w katalońskim słowo to wyszło z mody, ale jego brzmienie i znaczenie są identyczne. Spójnik „i” jest w obu językach tak samo pisany. Na bezrękawnik albo surdut Katalończycy (i Hiszpanie) powiedzą *casaca* – jakże podobnie brzmi nasz kasak. Do wspólnej rodziny wyrazów można też włączyć *divan* – jednak w tym wypadku jest różnica, bo po katalońsku wyraz ten oznacza leżankę, a nie tkaninę ozdabiającą podłogę.



Barcelonę od Polski dzieli ponad dwa tysiące kilometrów, ale dusza tego miasta jest bardzo słowiańska.

Katalończyków od wieków nazywają Polakami, a Polacy mają wyjątkowy sentyment do mieszkańców Barcelony.



Kto by pomyślał, że najpopularniejszy w Katalonii program satyryczny ma tytuł „Polònia”, a emisja kończy się słowem „Koniec”, które znają wszyscy? Wszakże w dzieciństwie byli „karmieni” polskimi kreskówkami takimi jak *Bolek i Lolek*. Katalończycy kochają Mrożka i Kantora, a spacer po mieście zaprowadzi nas do miejsc, gdzie chodził Chopin, Anders, Kapuściński i Gombrowicz. Po drodze znajdziemy polskie restauracje i sklepy, gdzie można kupić suchą krakowską, która jednak w niczym nie przypomina polskiego specjału. W katedrze wisi obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, a sukces klubu Barça zaczął się od polskiego piłkarza, który grał tam bez wynagrodzenia.



Ewa Wysocka, wieloletnia korespondentka Polskiego Radia w Hiszpanii, w swojej opowieści o stolicy Katalonii pokazuje nam, dlaczego każdy Polak może poczuć się w Barcelonie jak w domu.

Cena: 34,90 zł

www.marginesy.com.pl

ISBN 978-83-65282-74-3



Patronat medialny

